

Przedmieście Petersburga

17 stycznia 2017

Po wyborze Trumpa w Ameryce, nad Bałtykiem szybko mięknie rura. W Estonii już chyba wiedzą, że z Rosją nie warto zadzierać...

Kiedy w Ameryce niespodziewanie wygrał Trump, w wielu krajach Europy pojawił się lęk o ich bezpieczeństwo i przyszłość. Bodaj najsilniej i najpoważniej strach obleciał „tririespubliki rosyjskiej Pribałtyki” – jak mawiają w Moskwie – czyli Litwę, Łotwę i Estonię, położone między Petersburgiem a Kaliningradem. Dotąd bowiem wielu ludziom w tych krajach wydawało się, tak jak rządowi w Warszawie, że ukryci za plecami NATO po roku 2004, mogą bezkarnie drażnić rosyjskiego niedźwiedzia i nic im się nie stanie, bo Ameryce się to podoba i w razie czego ona ich obroni.

Jeśli nastawienie Ameryki do roli NATO miałoby się teraz zmienić, sytuacja geopolityczna tych krajów powraca do stanu naturalnego, czyli życia bezpośrednio na krawędzi rosyjskiego mocarstwa i konieczności ułożenia sobie z nim poprawnych stosunków, a w tym prawdopodobnie i uznanie pełnych praw rosyjskiej mniejszości, która w tych republikach pozostała. Jak dotąd traktowanie tej mniejszości (a także rdzennej mniejszości polskiej na Litwie) jest skandaliczne, zaś Unia Europejska udaje, że tego nie widzi.

Podczas swej kampanii wyborczej Trump zakwestionował amerykańskie zobowiązania do finansowania NATO, określił ten sojusz jako „obsolete” (przestarzały) i jak się wydaje, będzie mniej skłonny do kontynuacji awanturniczej polityki wojskowej prowadzonej dotąd przez USA na całym globie. Jego sojusznik Newt Gingrich, przez niektórych widziany jako kandydat na sekretarza stanu (czyli szefa amerykańskiego MSZ) dość pogardliwie nazwał maleńką Estonię „przedmieściem Petersburga” (a suburb of St Petersburg). Jak jednak naprawdę zachowa się

Trump na urządzie, przyjdzie jeszcze sprawdzić. Już po swym zwycięstwie, w rozmowie telefonicznej z Jensem Stoltenbergiem, sekretarzem generalnym NATO, Trump ponoć „podkreślił trwałe znaczenie Sojuszu”, a i Barack Obama w czasie swej pożegnalnej podróży po Europie zapewniał sojuszników, że Trump uszanuje wcześniejsze zobowiązania wojskowe Ameryki.

Estończycy nadal liczą na to, że od maja 2017 NATO rozmieści nad Bałtykiem (w tym w Polsce) obiecane 4000 żołnierzy. Żądanie Trumpa, aby europejscy sojusznicy NATO wpłacali swą pełną dółę do budżetu tego paktu, nikogo w Tallinie nie przeraża: Estonia jest jednym z pięciu członków tej agresywnej organizacji, którzy rzeczywiście przeznaczają na wojsko 2% swego PKB. Litwa i Łotwa obiecują robić to dopiero od roku 2018. Estonia posłusznie wysyłała też swoje symboliczne oddziały lenne na amerykańskie wojny w Afganistanie i Iraku – odpowiednio po 150 i 40 żołnierzy. Jakie to miało i mieć może znaczenie wojskowe – każdy jest w stanie osądzić sam. Nawet naczelny wódz estońskiej armii – gen. Riho Terras woli się w tym miejscu uśmiechnąć niż to komentować.

Ani w Tallinie, ani gdzie indziej nie ma wielkiej wiary w to, że Trump i Putin rzeczywiście mogą się ze sobą dogadać. Mimo znaków przyjaźni, jakie ze sobą na razie wymieniają, szkody jakich narobiły lata prowokacyjnej polityki Waszyngtonu i Brukseli wobec Rosji, nieprędko rozwieją opary głębokiej i uzasadnionej nieufności. George W. Bush też deklarował, że „poznał duszę Putina”, ale przecież jego kadencja zakończyła się wojną w Gruzji w 2006 roku. Barack Obama wszedł do Białego Domu obiecując „reset” w stosunkach z Moskwą, a kończy swą kadencję w sytuacji, gdy stosunki między obu krajami osiągnęły swój powojenny nadir. Donald Trump jest jeszcze bardziej nieprzewidywalny.

Estonia wchodzi zresztą w erę Trumpa mając także zupełnie nowe kierownictwo. Nazajutrz po jego wyborczym zwycięstwie, czyli 9 listopada w Estonii upadł koalicyjny rząd z prozachodnią Partią Reform na czele, a 23 listopada parlament estoński

zaprzysiągł nowy rząd składający się z Partii Centrum, Partii Socjaldemokratycznej i konserwatywnej IRL (56 mandatów na 101). Premierem został centrysta Jüri Ratas, a każda z trzech partii obsadziła po 5 stanowisk ministrów. W nowym gabinecie Ratasa jest trzech szefów resortów wywodzących się z mniejszości rosyjskiej – dwóch z Partii Centrum oraz lider socjaldemokracji Jewgienij Osinowski mający doświadczenie ministerialne z poprzednich rządów premiera Taaviego Rõivasa.

Nowa koalicja podkreśliła dążenie do kontynuacji dotychczasowej polityki obronnej i zagranicznej państwa, opartej na sojuszu z państwami NATO i aktywności Estonii w ramach UE (w drugiej połowie 2017 roku Estonia przejmie rotacyjne przewodnictwo w Radzie UE). Obiecała utrzymać 2% próg wydatków wojskowych i ...sankcje wobec Rosji (hi, hi, hi). Miało to na celu rozwianie wyrażanych za granicą obaw związanych z powrotem do koalicji – i objęcie w niej przywództwa – prorosyjskiej Partii Centrum, popularnej, ale dotąd (od roku 2007) sekowanej przez pozostałe ugrupowania parlamentarne. Nowy premier Jüri Ratas odciął się od linii Edgara Savisaara, wieloletniego lidera centrystów, polityka jawnie prorosyjskiego i antynatowskiego, który swego czasu nawet podpisał porozumienie o współpracy z putinowską partią Jednej Rosji. Kiedy 5 listopada Ratas zastąpił go na stanowisku przewodniczącego partii, zmiana ta otworzyła centrystom drogę do rozmów o powstaniu koalicji z innymi ugrupowaniami.

Na chęć podtrzymania dotychczasowej polityki wskazuje pozostawienie w rządzie prawie połowy ministrów z poprzedniego gabinetu, na czele którego stał Rõivas z prozachodniej Partii Reform. Kierowała ona rządami w Tallinie przez prawie dwanaście ostatnich lat, i doprowadziła do tego, że Estonia jako jedyna w regionie dostosowała się do wymaganego przez NATO poziomu 2% PKB na obronność i jako pierwsza przyjęła euro. O woli kontynuacji tej drogi świadczy również i to, że resort obrony dostał Margus Tsahkna, lider konserwatywnej,

prozachodniej i antyrosyjskiej partii IRL.

Z kolei włączenie Rosjan do rządu ma w zamiarze przeciwdziałać rozpadowi Partii Centrum po odsunięciu od władzy Savisaara. Jest jednak bardziej prawdopodobne, że wielu rosyjskojęzycznych wyborców, których nowa sytuacja geopolityczna ośmieli, a stara linia nowego rządu rozczaruje, utworzy w Estonii nowe ugrupowanie mniejszości rosyjskiej, podobne do rosyjskiej partii Zgoda na Łotwie. Będzie to oznaczać zaostrzenie się sporów wokół historii i aktywizację mniejszości rosyjskiej na rzecz głębszej współpracy z Rosją.

Tak czy inaczej, Estończycy nie mają złudzeń, że łatwiej im teraz nie będzie, także w dziedzinie obronności. Wzorem Skandynawii, gdzie wielkie i świetne tradycje ma koncepcja powszechnej obrony terytorialnej (słusznie i u nas promowana dawniej przez Romualda Szeremietiewa, a obecnie przez Antoniego Macierewicza, cokolwiek by poza tym o tych panach nie myśleć) w Estonii rozwija się szybko Kaitseliit, czyli ochotnicza „liga zbrojnej obrony kraju”. W milionowym kraju liczy ona już 24.500 członków, a jej dowódca – gen. Meelis Kiilis uważa, że “parim kaitse on hästi ettevalmistatud kodanikkond” (najlepszą obroną jest dobrze przygotowane społeczeństwo). Estończycy są etnicznymi i językowymi kuzynami Finów, więc nic dziwnego, że kultową postacią w Kaitseliit jest Simo Häyhä, najsłynniejszy snajper wszechczasów, który w czasie wojny zimowej fińsko-rosyjskiej 1939-40 samotnie zastrzelił 705 żołnierzy nacierającej Armii Czerwonej. Wie o nim każde estońskie dziecko. Wie też, że mimo to Finlandia tę wojnę przegrała.

Autorstwo: Bogusław Jeznach

Źródło: NEon24.pl